

<https://www.bbn.gov.pl/pl/wydarzenia/4419,Alfabet-prezydenta-wywiad-dla-quotPolitykiquot.html>

26.04.2024, 18:55

20.02.2013

Alfabet prezydenta - wywiad dla "Polityki"

POLITYKA: - Na półmetku kadencji chcemy zaproponować panu prezydentowi spojrzenie na polską politykę i stan polskiej demokracji poprzez głównych aktorów tej sceny. Coś w rodzaju „alfabetu Bronisława Komorowskiego”.

Bronisław Komorowski (nieco zaskoczony): - Spróbujmy.

Zacniemy od bohatera ostatnich tygodni. Janusz Palikot był, a może nadal jest, pana przyjacielem. W jakim miejscu jest jego ugrupowanie po sprawie Wandy Nowickiej?

Jednym z najbardziej bolesnych doświadczeń w moim życiu jest utrata przyjaciół z różnych, ważnych okresów życia, właśnie z powodu odmiennych poglądów, sympatii czy antypatii politycznych. Dotyczyło to choćby Antoniego Macierewicza, mojego bliskiego znajomego z okresu opozycji demokratycznej. Podobnie jest z Januszem Palikotem. Mieliśmy kiedyś, i bardzo to sobie cenię, sympatyczne i bliskie relacje, ale i ta przyjaźń poddana została bolesnej próbie.

Myślę, że Janusz Palikot poprzez polityczną szarżę odniósł najpierw wielki sukces, jakim było wejście do parlamentu i stworzenie liczącego się klubu parlamentarnego. Nie da się jednak uprawiać wiarygodnej polityki ciągle szarżując. Ludzie oczekują czegoś innego, nawet jeśli przez jakiś czas podoba się im widowisko. Z przykrością patrzę na to, co się ostatnio wydarzyło, bo myślę, że jeżeli będą następne szarże, to na pewno nie będzie to zwycięska Somosierra. Swego czasu miałem nadzieję, że Palikot potrafi wnieść do polskiej polityki to, co jest w nim naprawdę cenne, czyli wrażliwość w kwestiach kultury, kompetencje gospodarcze. Nie jest w Polsce częste, aby ludzie po sukcesach w biznesie trafiali do polityki, regułą jest proces odwrotny- z polityki do biznesu. On jest wyjątkiem i szkoda, że tego wyjątkowego doświadczenia nie spożytkował należycie.

Przy okazji szarży Palikota trzeci co do wielkości klub w Sejmie utracił swojego wicemarszałka. Czy to nie jest naruszenie zasad demokracji?

To jest naruszenie dobrych zasad i dobrego obyczaju. Problem polega na tym, że polityk, który z naruszania czy wręcz wywracania zasad i norm uczynił metodę polityczną, nie może oczekiwać, że inni w stosunku do niego dochowają wierności zasadom. To jest właśnie ten kłopot. Dzisiaj Janusz Palikot nie ma z żadnym z ugrupowań, z klubów parlamentarnych najmniejszej nici porozumienia czy choćby nawet relacji neutralności.

A jak pan oceniał pomysł z powołaniem Anny Grodzkiej na wicemarszałka?

Cel, który byłem w stanie zrozumieć, czyli podniesienie głośno i publicznie kwestii osób w szczególnej sytuacji, związanej choćby z transseksualnością, został osiągnięty przez sam fakt wejścia pani Anny Grodzkiej do parlamentu. Wicemarszałkowanie było więc już czystym zamysłem politycznym, może chęcią postawienia innych w trudnej sytuacji, pokazaniem, że są mniej tolerancyjni, a więc gorsi. Takie stawianie sprawy przynosi jej więcej szkody niż pożytku.

Palikot po tych eskapadach wyraźnie nadwerzęzył swoją reputację jako potencjalnego czy prawdziwego lidera lewicy. Czy pan, znając Janusza Palikota, uważa, że on naprawdę jest lewicowcem, czy to bardziej polityczny kostium?

Problem lewicy w Polsce jest poważniejszy niż Janusz Palikot. Nie jestem i nigdy nie byłem człowiekiem lewicy, ale patrząc z troską na rozwój i jakość sceny politycznej, a tym samym stan polskiej demokracji, uważam, że Polacy powinni mieć wybór między dobrą lewicą, dobrą prawicą i dobrym centrum. Chciałbym, aby w Polsce ukształtowała się nowa lewica. Z jednej strony wolna od garbu, jakim jest jednak aktywność konkretnych polityków w okresie totalitarnym, ale też wolna od pewnej, często widocznej nieautentyczności, sprowadzającej lewicowość tylko i wyłącznie do kwestii obyczajowych. Lewica na Zachodzie rzeczywiście konstytuuje się dzisiaj często wokół problemów obyczajowości, ale ma jednak za sobą bogatą tradycję, doświadczenie i wrażliwość wyniesione z poprzednich epok lewicowości, z czasów kiedy dominowały troska o biedną część społeczeństwa, o pracowników. Wiele razy się zastanawiałem, co może się stać z lewicą polską.

Więc od razu podpowiemy kolejne nazwisko z naszej listy: Aleksander Kwaśniewski. On ma być ostatnią nadzieją lewicy.

To może być skuteczna recepta na dostanie się do Parlamentu Europejskiego, bo o tym mówią sondaże. Nie sądzę jednak, aby wystarczyła na zbudowanie wiarygodnej i atrakcyjnej społecznie lewicy.

Zostaje więc próżnia.

Próżni nie ma, są obecnie funkcjonujące polityczne byty, mające jednak poważny problem z tożsamością. Jako człowiek Solidarności myślałem kiedyś, że właśnie z Solidarności wyłoni się lewica nawiązująca do bardzo dla mnie wartościowej tradycji PPS. Dzisiaj myślę, że to był poważny błąd, że nic takiego się nie wydarzyło. Myśmy wtedy, budując Unię Demokratyczną, uważali za cnotę, że razem, konserwatyści i ludzie o lewicowej wrażliwości, tworzymy jedną partię, bo taka była potrzeba reformy państwa polskiego. Ale wydaje mi się, że zostały wówczas zablokowane naturalne procesy tworzenia pluralizmu. Ze stratą, co widać po wielu latach, dla jakości polskiego życia politycznego i jego autentyczności. Wyszło na to, że np. Jacek Kuroń ze swoją lewicową wrażliwością nie tylko demontował realny socjalizm, ale i budował w Polsce kapitalizm. Takie to były czasy...

Nie chcę podpowiadać nikomu, bo to nie jest moja rola, ale sądzę, że mądrość polityków, którzy mają poczucie odpowiedzialności za los i stan lewicy polskiej, powinna się przejawić w świadomym cofnięciu się o krok, po to, aby stworzyć pole do działania ludzi nowych, wesprzeć ich swoimi możliwościami, autorytetem. Nie po to, żeby samemu kontynuować kariery polityczne. W jakiejś mierze tak właśnie postąpiła lewica w okresie przełomu ustrojowego, na przykład w stosunku do Aleksandra Kwaśniewskiego i jego otoczenia... Było przecież ewidentne, że starzy działacze cofnęli się i oddali pole komuś innemu, młodszemu. Z sukcesem.

Następne nazwisko, a właściwie nazwiska, w naszym alfabecie: czy Jarosław Kaczyński cofa się, forsując „projekt Gliński”?

Nie sądzę. Jest to pomysł Jarosława Kaczyńskiego na pokazanie innej twarzy niż swoja własna z zamysłem bardziej piarowskim niż wolą oddania komukolwiek realnej władzy. Nie wiem jednak, co siedzi w głowie i sercu Jarosława Kaczyńskiego jako lidera polskiej prawicy. Przyznam, że kiedyś pokładałem nadzieje w środowisku Pawła Kowala, że oni świadomie podejmą próbę zabudowania tej przestrzeni między radykalną prawicą a centrum. Dzisiaj, według mnie, to miejsce chce zagospodarować Jarosław Kaczyński, lansując m.in. pomysł technicznego premiera. Może się jednak okazać, że lansowanie pana prof. Glińskiego, byłego członka Unii Demokratycznej, zacznie wpływać moderująco na poglądy samych członków i sympatyków PiS. To by się przydało polskiej demokracji.

I w przyszłości umiarkowany i spopularyzowany prof. Piotr Gliński staje się pana kontrkandydatem w wyborach prezydenckich na drugą kadencję. Co pan na to?

Jestem zwolennikiem konkurencji.

„Operacja Gliński” jest podobno próbą narzucenia jałowej polskiej polityce debaty merytorycznej. Sam profesor mówi, że on jest od „merytoryki”.

Ale na razie zgadza się być od techniki politycznej, a nawet czystej socjotechniki... Kancelaria Prezydenta właściwie bez przerwy organizuje merytoryczne dyskusje, zaprasza przedstawicieli wszystkich środowisk politycznych, ale nigdy nie widziałem, ani w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, ani przy innych okazjach, przedstawicieli PiS. Dlatego jestem przekonany, że to zamysł wyłącznie piarowski, a nie wewnętrzne, głębokie przekonanie o potrzebie uczestniczenia w poważnej debacie, bez awantury.

Panie prezydencie, czy zauważył pan jakieś zmiany w postępowaniu Jarosława Kaczyńskiego, który był i może będzie pańskim kontrkandydatem?

Nikt nie wie, co będzie do 2015 r., co się stanie w PiS, z PiS, z Jarosławem Kaczyńskim. Natomiast obserwuję jedną stałą linię postępowania Kaczyńskiego w polskiej polityce od wielu już lat. Jestem przekonany, że pierwszą bezwzględnie przestrzeganą przez niego zasadą jest pilnowanie, żeby nikt nie był bardziej prawicowy niż on. Działa tak, aby nie znalazł się nikt między prawą ścianą a jego partią. A ta prawa ściana to jednak różnego rodzaju radykałowie, fundamentaliści, którzy odstręczają wyborców umiarkowanych, także prawicowych. Prof. Gliński może coś tu zamaskować, ale jestem przekonany, że Kaczyński nie odejdzie od żelaznej zasady trwania przy prawej ścianie. Tego nauczyło go doświadczenie porażki Porozumienia Centrum.

Może Jarosław Gowin - bardzo ostatnio widoczny aktor i ważne nazwisko naszego politycznego teatru - zacznie wyrastać na lidera prawicy? Czy dzisiaj, gdyby Bronisław Komorowski był w Sejmie, znalazłby się we frakcji Gowina?

Interesujące, że nie pytają państwo, czy Gowin nie byłby w mojej frakcji? Ale to dobrze, bo ja tylko raz w życiu byłem we frakcji wewnątrzpartyjnej w ramach Unii Demokratycznej, taka była formalna struktura Unii. To było jednak bardzo trudne doświadczenie i według mnie niewarte propagowania. Partie, które mają frakcje, zawsze same proszą się o kłopoty. Sztuką jest posiadanie w partii skrzydeł, które nie zamieniają się we frakcje. Skrzydła się szanują, frakcje szachują.

Chodzi nam raczej o zestaw poglądów, nie o partyjną strukturę. Gdyby na przykład wpłynęła do pana, jako do prezydenta, ustawa o związkach partnerskich w wersji, dajmy na to pana posła Dunina z PO, czy pan by ją podpisał bez problemu?

Po pierwsze, Sejm nie udźwignął tego trudnego problemu. Po drugie, moją rolą jest pilnowanie konstytucyjności w odniesieniu do wszystkich ustaw, także ustawy dotyczącej związków partnerskich. Z powagą traktuję więc sygnały, które trafiły do mnie zarówno w postaci stanowiska prezesa Sądu Najwyższego, jak i ministra sprawiedliwości, ale także od innych prawników konstytucjonalistów. Jestem strażnikiem konstytucji, ale jednocześnie zwolennikiem załatwienia uczciwie, przyzwoicie, wielu autentycznych, trudnych spraw ludzi, którzy żyją w związkach nieformalnych. Nie dotyczy to zresztą tylko par homoseksualnych, ale i heteroseksualnych, a nawet całkowicie aseksualnych, np. dwóch wdów wspierających się na starość i prowadzących wspólnie dom. Szukam więc rozwiązań niebudzących wątpliwości konstytucyjnych i dlatego zgłosiłem propozycję zmian w konkretnych obowiązujących już ustawach.

Panie prezydencie, deklaruje się pan jako konserwatysta. Ale jak pan dzisiaj definiuje taki

nowoczesny konserwatyzm, bo rozumiemy, że chce pan być jego reprezentantem. Jeżeli bowiem mówimy o związkach partnerskich, to mamy np. najstarszą córę Kościoła, czyli Francję, i konserwatystów brytyjskich, którzy właśnie w tych dniach podjęli decyzje w sprawie małżeństw jedнопłciowych, jakich w Polsce by pan nie poparł.

To, co się wydarza we Francji i w Wielkiej Brytanii, warto uwzględnić w zakresie wpływu na polską opinię publiczną. Jestem przekonany, że ogromna część Polaków myśli sobie tak: dzisiaj związki partnerskie, a to znaczy jutro czy pojutrze małżeństwa homoseksualne, a dalej adopcja dzieci... Sądzę, że ten fakt powinny dostrzec środowiska, które dzisiaj zabiegają o związki partnerskie. Trzeba bowiem uwzględnić różne, a nie tylko własne wrażliwości, ludzkie lęki, obawy i przekonania, które legły u podstaw naszej konstytucji, innej przecież niż konstytucja Francji. Polska konstytucja w zapisach dotyczących małżeństwa, rodziny, macierzyństwa jest chyba jedną z najbardziej konserwatywnych w Europie. Nie można więc raz ludziom mówić, że zabezpieczamy się przed perspektywą małżeństw homoseksualnych i adopcją przez nie dzieci, a potem, że to, co mówiliśmy dziesięć lat wcześniej, dzisiaj już jest nieaktualne. Zmiany cywilizacyjne, kulturowe mają to do siebie, że zachodzą powoli, a moim zdaniem prawo w ogromnej większości przypadków powinno starać się nadążać za zmianami cywilizacyjnymi, a nie je wywoływać i wyprzedzać. Nie dlatego, że uważam, iż świat nie powinien się zmieniać, jestem specyficznym rodzajem konserwatysty, który był rewolucjonistą i starał się zmieniać świat, ale ważne, żeby okazać szacunek dla ludzi, ich obaw, ich potrzeb, dać im czas na dojrzewanie.

Rozumiemy, że w ten sam sposób myśli pan o innych kwestiach światopoglądowych, takich jak dopuszczalność aborcji, in vitro, eutanazja?

U fundamentów mojego poglądu na świat jest uznanie życia za podstawową wartość i z tego wynika zarówno mój negatywny stosunek do pomysłów na pełną dowolność aborcji, jak i pozytywny stosunek do uregulowania kwestii stosowania metody in vitro jako szansy na danie ludziom szczęścia posiadania dzieci. To samo dotyczy mojego stosunku do kary śmierci, której jestem zdecydowanym przeciwnikiem. To samo będzie dotyczyło eutanazji. Jestem przeciwnikiem eutanazji, bo jestem za życiem, natomiast jestem otwarty na odpowiedzialne projekty, które by oznaczały, że eliminuje się zagrożenia w dramatycznie trudnych sytuacjach, związane z uporczywym leczeniem.

Generalnie uważam, że trzeba ludziom dać jak najwięcej wolności, jeśli chodzi o kształtowanie własnego życia, jak najmniej ich ograniczać, ale musi to być oparte na szacunku dla innych, dla drugiej strony. Staram się jednak, by moje osobiste poglądy nie stały wyżej ponad wrażliwościami innych obywateli. Dlatego jestem zwolennikiem poszukiwania i w tak trudnych i delikatnych sprawach kompromisu. Dobrym przykładem jest kompromis w sprawie ustawy antyaborcyjnej. Będę go bronił.

Panie prezydencie, przejdźmy do kolejnego nazwiska: Tomasz Siemoniak. Mało kto wie, że jest on ministrem obrony narodowej, wszyscy wiedzą, że kwestią wojska zajmuje się osobiście pan prezydent. Wróciliśmy do koncepcji resortów prezydenckich?

Tomasz Siemoniak jest bardzo dobrym ministrem obrony narodowej. Mało się lansuje, ale dużo dobrego robi realnie. Potrafię to docenić, bo ogromną część mojego życia politycznego spędziłem na różnych stanowiskach przy wojsku, a dzisiaj jestem zwierzchnikiem sił zbrojnych.

...czy pan prezydent ma jakiś stopień wojskowy?

Nie mam żadnego stopnia, byłem pierwszym (ex aequo) z Januszem Onyszkiewiczem cywilnym wiceministrem obrony narodowej. I kiedy myślę o ministrze Siemoniaku, przypominam sobie, co ja przeżyłem jako wiceminister, jako minister w różnych czasach, wtedy kiedy w Belwederze permanentnie wisały generalskie czapki. Wiem, jak

łatwo jest wojskowym obchodzić cywilnego ministra, jeśli tego sobie życzy prezydent. W związku z tym nie zrobiłem i nie zrobię, mam nadzieję, najmniejszego ruchu, który by oznaczał, że ktokolwiek w siłach zbrojnych mógłby nawet liczyć na to, że złamię ustawową zasadę, że prezydent realizuje swoje zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi za pośrednictwem cywilnego ministra obrony.

Wierzę, że minister Siemoniak jest tym, który potrafi dokończyć reformy w siłach zbrojnych, zwłaszcza przeprowadzić zmianę systemu dowodzenia. Do tej zmiany musiałem przekonać ministra, premiera, rząd, a także wojskowych, ale wszystkie moje rozmowy owocują tym, że już pojawił się rządowy projekt ustawy.

A co daje to inne usytuowanie sztabu generalnego i inna organizacja dowództwa? Pan mówi „zmiana rewolucyjna”, na czym polega rewolucyjność?

Sztab generalny przestanie być dowództwem generalnym i operacyjnym, tylko będzie miejscem strategicznego planowania rozwoju sił zbrojnych i planowania obrony Polski. Bardzo ważnym efektem reformy będzie ujednoczenie systemu dowodzenia na czas pokoju, zagrożenia i wojny. Zwiększą się strategiczne kompetencje dowództwa operacyjnego, które będzie odpowiedzialne nie tylko za misje zagraniczne, ale przede wszystkim za przygotowanie się do prowadzenia operacji w ramach obrony Polski. I wreszcie będzie to, co od dłuższego czasu staje się stopniowo normą na świecie: jedno połączone dowództwo wszystkich rodzajów sił zbrojnych, podległe ministrowi, bo dotychczas armia się zmniejszała, a liczba dowództw rosła. Zlikwidowana zostanie sytuacja, w której sztab generalny był onnipotentny, planował, decydował i sam siebie rozliczał. To nigdy nie wychodzi dobrze.

Nie chcemy już wracać do dyskusji o sensie przeznaczenia aż 1,95 proc. PKB dla wojska, ale jest dość powszechne przekonanie, że armia w ramach komfortu budżetowego, jakiego nie mają inne dziedziny, dosyć lekceważy sobie dyscyplinę finansową. Czy ta reforma coś tu zmieni?

Nieuzasadnione wydatki pojawiły się w ostatnich latach właśnie w wyniku nieprzeprowadzenia reformy systemu dowodzenia, braku konsolidacji systemu szkolnictwa wojskowego, choć oczywiście także były skutkiem zaangażowania w operacje zewnętrzne - afgańską czy iracką, które pochłonęły ogromną część środków na wojsko.

Popierał pan nowe misje zagraniczne.

Powiedziałbym, że chyba najmniej ze wszystkich polityków. Zawsze podkreślałem to, że można w nich uczestniczyć, ale nie z automatu i nie na dowolną skalę, tylko każdorazowo po roztropnej kalkulacji i zbilansowaniu interesu narodowego, potrzeb i możliwości. Najgorsza w tych sprawach była trwająca przez lata całe nadgorliwa postawa politycznych stachanowców.

Jak w sprawie rzekomych więzień CIA.

Użyli państwo słowa „rzekomych”. I przy tym zostańmy. Niech nasza prokuratura i cały wymiar sprawiedliwości spokojnie i rzetelnie do końca to wyjaśni. Zawsze byłem i nadal jestem za tym.

Panie prezydencie, a nie marzyłaby się panu, już przechodzimy do następnego wątku i następnego nazwiska, armia Unii Europejskiej?

Marzy mi się. Trudno jednak sobie wyobrazić posiadanie wspólnego systemu obrony i bezpieczeństwa bez wspólnej polityki zagranicznej i wspólnej strategii bezpieczeństwa europejskiego. Zaangażowanie w budowę europejskiego systemu obronnego musi oznaczać wyjaśnienie przede wszystkim kwestii, do czego ma ten system służyć. Czy tylko i wyłącznie do operacji zewnętrznych, w imieniu Europy, takich jak obecnie w Mali, czy też w

dłuższej perspektywie ma dać gwarancje bezpieczeństwa krajom członkowskim Unii Europejskiej? To są też pytania o naszą politykę zagraniczną. O relacje pomiędzy UE i NATO. Już od dłuższego czasu namawiam do refleksji nad strategicznymi fundamentami wspólnej polityki bezpieczeństwa i obrony.

Może coś się zmienić, gdy unijnym ministrem spraw zagranicznych zostanie, o czym się plotkuje, Radosław Sikorski, pana dawny rywal w partyjnych prawyborach. Czy panowie jakoś różnicie się w wizjach przyszłej Europy?

Ważne jest to, że konkurując kiedyś, dzisiaj potrafimy współpracować. Uważam - i mam tu pełną zgodę z ministrem Sikorskim - że trzeba znaleźć dla Polski ścieżkę w kierunku dobrego i mocnego miejsca w niewątpliwie pogłębiającej się integracji europejskiej. Dlatego żałuję, że moja inicjatywa zmiany konstytucji pod kątem wejścia do strefy euro nie została przeprowadzona przez poprzedni Sejm do końca. Dzisiaj nie są nam potrzebne kolejne deklaracje, w którym roku znajdziemy się w strefie euro. Na razie Polska nie spełnia kryteriów, które by pozwalały na akcesję. Trzeba się skoncentrować na uzyskaniu zdolności do podjęcia decyzji, a więc na spełnieniu kryteriów traktatu z Maastricht, co byłoby korzystne dla polskiej gospodarki i dzisiaj.

Pan prezydent sam jednak mówi: mamy być gotowi w 2015 roku.

Tak, mamy być gotowi do spełnienia kryteriów i do podjęcia decyzji, a nie gotowi do składania deklaracji bez pokrycia. 26 lutego odbędzie się Rada Gabinetowa, podczas której wszystkie te problemy, czyli strategię i taktykę w sprawie euro omówimy. Będę namawiał rząd i całą scenę polityczną do tego, żeby rozdzielić dwa procesy. Jeden - dochodzenia do uzyskania kryteriów z Maastricht, tak, aby można było uczciwie Polakom powiedzieć: możemy podjąć decyzję o wejściu do strefy, ale nie musimy. Uważam, że do 2015 spełnimy kryteria, chociaż wymagać to będzie wielu decyzji natury ekonomicznej.

Dopiero po 2015 roku, po wyborach, w zależności od ich wyniku, możemy podejmować decyzje o charakterze konstytucyjnym. I to jest właśnie drugi proces - jeżeli będziemy po 2015 r. przygotowani, to na zimno ocenimy, czy to dobre dla Polski, czy wzmocni naszą pozycję w Europie i na świecie, czy będzie to korzystne dla polskiej gospodarki i dla kieszeni "Kowalskiego".

Panie prezydencie, jeżeli pan powiedział: Rada Gabinetowa, to w naszym alfabecie pojawia się kolejne nazwisko - Donald Tusk. Jak się układa kohabitacja z premierem?

Kohabitacja nie wydaje mi się tutaj określeniem właściwym, bo chodzi nie o współobecność, ale o współdziałanie. Głęboko wierzę, że w sposób uczciwy, ale i odpowiednio elastyczny, polityków może łączyć przede wszystkim wspólnota drogi i wspólnota celów. Nigdy nie odwołuję się więc do jakichś osobistych relacji z Donaldem Tuskiem, choć one istnieją, ale do doświadczeń wspólnie przebytej drogi i to od czasu, kiedy obaj byliśmy pod kuratelą Tadeusza Mazowieckiego (Donald był wiceprzewodniczącym partii, ja sekretarzem generalnym). Oznaczało to, i w moim przekonaniu oznacza nadal, wspólną wizję Polski i wspólne poczucie odpowiedzialności za kraj.

To nie zwalnia prezydenta z obowiązku oceny działania i premiera, i rządu.

Oczywiście, że nie. Myślę, że udaje się nam, właśnie bez powoływania się na miłość, przyjaźni polityczne, szorstkie, czy jedwabne, po prostu prowadzić przyzwoicie od tych dwóch i pół roku polską politykę. Mam również przekonanie, że każdy musi robić swoje. Ja na przykład, jako strażnik konstytucji, muszę patrzeć na to, jakie ustawy rząd przedstawia, czy one są konstytucyjne, czy nie, i nikt nie ma chyba wątpliwości, że nie kieruję się tutaj sympatią, czy antypatią, tylko konstytucją. Tak to wygląda i myślę, że dzisiaj profituje to w opinii publicznej zarówno dotyczącej premiera, jak i prezydenta.

Panu profituje głównie, ma pan ponad 70 proc. społecznego poparcia.

Najważniejsze jest jednak poczucie Polaków, że nie grozi im żaden głupi konflikt na szczytach państwa.

Czy Donald Tusk powinien poprowadzić jeszcze raz Platformę w wyborach, czy - tak jak zapowiadał - wycofać się?

Nie mieszam się w sprawy partii, więc powiem tak: Donald Tusk jest pierwszym polskim politykiem, który już drugi raz tworzy rząd po wygranych wyborach. To jest sygnał, że Polacy doceniają to, że żyjemy dzisiaj w innej Polsce, pod wieloma względami stabilizującej się, w kraju przewidywalnych polityków. Przynajmniej niektórych. Czy Donald Tusk ma szansę na wygraną wyborów po raz kolejny? Po ostatnich sukcesach związanych z europejską perspektywą budżetową, która przecież będzie realizowana przez siedem kolejnych lat, wydaje mi się, że tak.

To teraz ostatnie nazwisko: Bronisław Komorowski. Panie prezydencie, kiedy patrzy pan na półmetek kadencji, to właściwie jakiego typu to jest doświadczenie, czego ono pana przede wszystkim nauczyło? O sobie, o polskiej polityce, polskim społeczeństwie?

To więcej niż dwa i pół roku, bo i te pierwsze miesiące po katastrofie smoleńskiej były przecież niesłychanie brzemiennie w skutki i wydarzenia. W wymiarze osobistym z tamtego czasu pozostaną może nie urazy, ale ciernie i pozbawione złudzeń spojrzenie na polską politykę. Nie jestem jednak politycznym nowicjuszem i mogę powiedzieć, że jeśli chodzi o sprawy zasadnicze, to nic się we mnie nie zmieniło. Zawsze głęboko wierzyłem, że w polityce nie należy udawać, że jest się kimś innym. Jeżeli się akceptuje samego siebie, to należy to pokazywać i mówić otwarcie o swoich poglądach. Byle odnosić się z szacunkiem do cudzych.

Po drugie, uważam, że istotą prezydentury jest budowanie wspólnoty i szukanie tego, co łączy, a nie tego, co dzieli, od kwestii gospodarczych po historię. Nie należy przejmować się drobiazgami, stawiać zawsze na swoim, nie trzeba wtrącać się rządowi w każdą sprawę, nie warto podstawiać nogi, jeśli coś jest nie tak, niezgodnie z moimi osobistymi poglądami. Trzeba wybierać to, co najważniejsze, i na tym się koncentrować, próbować się dzielić odpowiedzialnością, splendorem, dzielić się sukcesem i jednocześnie częścią odpowiedzialności. Wydaje się, że w paru dużych sprawach to się udało. Dla mnie sprawą niesłychanie ważną było uruchomienie reformy systemu emerytalnego.

Był to test, czy potrafię nie tylko zachęcić do reformy, ale także wziąć część odpowiedzialności za nią i jeszcze na tym politycznie nie stracić. Drugi przykład to właśnie reforma sił zbrojnych; trzecim będzie strategia wchodzenia Polski do strefy euro, a czwartym opracowanie strategii państwa polskiego w działaniach na rzecz rodziny w kontekście kryzysu demograficznego.

To jest zadanie na następne 2,5 roku prezydentury czy na następne 7,5; na drugą połowę czy na pozostałe trzy czwarte?

Mówiłem już: co będzie w 2015 r., nie wiemy. Ale dość dobrze wiemy, co trzeba zrobić do tego czasu.

Źródło: "Polityka", 20 lutego 2013 r., rozmawiali Jerzy Baczyński i Janina Paradowska

[Tweetnij](#)